

Tadeusz Biliński

Dziecko : pracownik poszukiwany

Palestra 38/3-4(435-436), 72-76

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Biliński

Dziecko – pracownik poszukiwany

Na lotnisku w Bangkoku opasły Niemiec w szortach czule żegnał się ze swoją tajską partnerką, szczupłą dziewczynką w wieku może czternastu, piętnastu lat. Widziałem ich już wcześniej na plaży w Kosa Mui, niewielkiej i przyjemnej wyspie u wybrzeży Tajlandii. Bardzo wielu turystów z Europy zajmowało bungalowy wspólnie z tajskimi dziewczynami, często dziewczynkami, bo niektóre ewidentnie nie miały więcej niż dwanaście lat. To co w Europie jest przestępstwem, w Azji bardzo często uchodzi bezkarnie.

Jedną z młodych prostytutek była trzynastoletnia Mi Czun pochodząca z północnego miasta Cziang Mai. Ojczym sprzedał ją do miejscowego burdelu za 190 dolarów, kiedy zabrakło mu pieniędzy na kolejną porcję opium. „Przeszła przez dwa domy publiczne” – opowiadała przedstawicielka specjalnej organizacji powołanej przy premierze Tajlandii dla zwalczania dziecięcej prostytucji, „ale i tak ma dużo szczęścia, nie złapała wirusa HIV. W domach publicznych jest teraz szczególnie duży popyt na dziewczynki, ponieważ uważa się, że mniej jest wśród nich zarażonych”.

Inne dziewczynki trafiają do domów publicznych „wypożyczane” przez rodziców, którzy ciągną z tego stały dochód, nie zawsze w wyniku rzeczywistej potrzeby. Często motywem jest pogoń za dobrami materialnymi – lodówką albo motocyklem. Nierzadko całe rodziny utrzymują się z prostytucji nieletnich, nielegalnej nawet w Tajlandii. Cóż z tego jednak, skoro prawo nie jest egzekwowane. Praca dzieci w Azji mająca wiele aspektów, w jednym jest wspólna – jest powszechna, w większości krajów prawem zabroniona, co nie ma jednak najmniejszego znaczenia.



Dzieci pracujące w restauracji
w miejscowości Korla, Sinkiang, Chiny

Szklane miasto

Ravi mieszka na dalekim przedmieściu Firozabadu indyjskiego „szklanego miasta”. Nazwa pochodzi od licznych, niewielkich hut szkła, w których produkuje się paciorki, bransolety, szklanki, aparaturę medyczną i kandelabry. W wieku sześciu lat Ravi utrzymuje bezrobotnych rodziców oraz młodszego brata, Vijaya. Wstaje o czwartej rano, pracuje do szóstej wieczorem. Dostaje dwadzieścia rupii dniówki – mniej niż jednego dolara. Ravi zaczął pracować w wieku czterech lat. Kiedy dorośnie to, jeżeli będzie miał szczęście, przeniosą go do dmuchania szkła za czterdzieści rupii dziennie. Nie będzie jednak dmuchał długo, ponieważ przeciętna życia pracownika huty nie przekracza trzydziestu pięciu lat.

Na południu Indii, w niewielkim mieście Sivakasi niedaleko wspaniałego kompleksu świątyni w Madurai mieszka ośmioletnia Kamala. Jak większość innych dzieci w mieście, Kamala wyrabia zapałki. Pracuje na werandzie rodzinnego domu, sklejjąc odpowiednio wycięte pudełka. Do wieczora obok Kamali piętrzy się stos kilkuset opakowań. Inne dzieci, w małych, ciemnych i źle wentylowanych warsztatach pokrywają zapałki masą zapalającą. Bierze się w tym celu wcześniej wystrugane drewnienka, zamyka w specjalnej ramie i zanurza do roztworu gumy zmieszanej z chemikaliami. Po wyschnięciu są pakowane do pudełek, które Kamala i wiele setek innych podobnych jej dziewczynek pracowicie skleja codziennie w Sivakasi i okolicznych wsiach. Praca trwa dwanaście godzin, ale dzieci przebywają poza domem co najmniej piętnaście. Nie dostają też żadnej pensji, odrabiając najczęściej pożyczkę wcześniej zaciągniętą przez rodziców.

Dziecko, idealny pracownik

Szacuje się, że w Indiach, drugim najludniejszym kraju Azji nie mniej niż dwadzieścia procent dochodu narodowego wypracowują nieletni. W co trzeciej rodzinie indyjskiej, pakistańskiej czy bangladeskiej zarobki pracujących dzieci są ważnym składnikiem domowego budżetu. Widać je wszędzie – jak zbierają szmaty na wysypiskach i odwożą do punktu skupu, jak pracują w „pralniach” wzdłuż rzek i kanałów tłukąc kijankami, jak pomagają w restauracjach i służą w domach, handlują na bazarach. Starsze dziewczynki zajmują się młodszym rodzeństwem, gotują i sprzątają. Nierzadko zmusza się je do uprawiania prostytucji. Więcej dzieci pracuje, niż uczy się.

Dzieci pracują bo muszą, dlatego że zarobki rodziców – o ile jakiegokolwiek są, nie wystarczają na pokrycie podstawowych potrzeb rodziny. Jest to najczęstsze wyjaśnienie problemu, określanego oficjalnie jako „bolesna rzeczywistość”, ale nie jedyne możliwe. Są zmuszane do pracy również dlatego, że pracodawcy wolą mieć do czynienia z dziećmi niż z dorosłymi. Dzieci nie mają związków zawodowych. Łatwo je zastraszyć albo ukarać. Dzieci są często bite w miejscach pracy. Boją się skarżyć inspektorom urzędu pracy na warunki panujące w fab-

rykach i warsztatach, na złe traktowanie czy niewypłacanie pensji. Dzieci, jeszcze nie zniszczone przez wyczerpującą, nadludzką pracę i złe odżywianie mają też często więcej siły niż dorośli. W hutach szkła w Firozabadzie zatrudnia się je do przenoszenia gorących wyrobów z hali do hali. Robią to biegiem. Ponieważ są małe i zwinne, dobiegają szybciej, a szkło mniej stygnie, co jest ważne dla procesu produkcyjnego. Dziewczynki z Sivakasi, mając małe i zwinne palce, potrafią w ciągu dnia wyprodukować więcej zapalek niż jakikolwiek dorosły robotnik. Takie same palce potrzebne są przy ręcznym tkaniu dywanów. Obserwowałem kiedyś wyrób dywanów w Nepalu – żadna z pracujących przy krosnach dziewczynek nie miała więcej niż czternaście lat, a najmłodsza miała prawdopodobnie siedem.

No i najważniejsza rzecz: dzieciom można płacić mniej albo nawet nie płacić zupełnie nic. Często przez pierwszych kilka lat „przyuczają się do zawodu”, pracując za miskę stawy dziennie. Często w zamian za pracę swoich dzieci, rodzice biorą pożyczkę. Prowadzi to do długoletniego uzależnienia, zarówno rodziców, jak i dzieci od pracodawcy, ponieważ pożyczka jest oprocentowana i w praktyce, ze względu na bardzo niskie pobory, niemożliwa do zwrotu.

Rodzicom zależy, żeby ich dzieci pracowały. Niektóre zawody tradycyjnie od dziesiętków lat przechodzą w tej samej rodzinie na młodsze pokolenie. Taka sytuacja występuje na plantacjach herbaty w Nepalu, Indiach i Sri Lance. Rodzice dążąc do zagwarantowania bytu własnemu potomstwu, zabierają je ze sobą na plantację. Początkowo dzieci zbierając herbatę za darmo pomagają matkom, potem przechodzą na własny rachunek. Pracy jest mało, trzeba ją cenić.

„Pracownicy przywiązani”

Warunki pracy w firozabadzkich hutach szkła są okropne. Najczęściej huty to niewielkie przedsiębiorstwa nastawione na szybki zysk. Właściciele oszczędzają, nie zapewniając robotnikom nawet podstawowych warunków bezpieczeństwa. Wypadki przy pracy, ciężkie oparzenia prowadzące do kalectwa są częste, także wśród dzieci. Indyjskie wydawnictwa, w tym szanowany *Economic and Political Weekly* donosiły nawet o przestępstwach, których dopuszczali się właściciele dla ukrycia wypadków. Pracujące przy wyrobie zapalek i ogni sztucznych dzieci nieraz stawały się ofiarami wybuchów i ciężkich poparzeń, nie wspominając o codziennym, wielogodzinnym wdychaniu trujących oparów w źle wentylowanych warsztatach.

Dzieci zatrudnia się także przy produkcji *bidi*, papierosów zwijanych ręcznie z jednego liścia tytoniu. Zwinięty liść należy następnie przewiązać cienką nitką. Delikatne paluszki są przy tej pracy szczególnie cenne. Każdy młodociany pracownik spędza po kilkanaście godzin dziennie wdychając trujący tytoniowy pył.

Niedawno społeczeństwo indyjskie zbulwersowało doniesienie o zamordowaniu w miasteczku Wani w stanie Maharasztra ośmioletniego Shivy Murugana. Został zatłuczony na śmierć rozpalonymi żelaznymi drągami przez właściciela

restauracji, w której pracował. Jak poinformowali przedstawiciele organizacji Kampania Przeciwko Pracy Dzieci (CACL), ruchu skupiającego osoby przeciwstawiające się pracy młodocianych, pomimo zamordowania Shivy jego starszy brat Raja i trzech innych chłopców wciąż mieszka i pracuje w restauracji mordercy. Wszyscy chłopcy, Tamilowie z południa Indii, są całkowicie bezradni. Nie mają pieniędzy na powrót do domu, nie mają nawet domu. Cała piątka była bardzo źle traktowana, właściciel znęcał się nad nimi codziennie. Shiva Murugan nie wytrzymał i któregoś dnia uciekł. Złapano go i zamordowano. Dzieci były w istocie niewolnikami, ponieważ właściciel restauracji, Genesh Rajput, „kupił” ich od opiekunów w Tamilnadu za sumy od 15 do 50 dolarów. Stali się więc „pracownikami przywiązanymi” (*bonded laborers*), którzy pracą odrabiają dług, przechodząc na „własność” nabywcy. Jest to praktyka w Indiach nie taka znów rzadka, szczególnie na prowincji, chociaż całkowicie niezgodna z prawem. Zmuszano ich do pracy od trzeciej rano do jedenastej w nocy bez żadnej zapłaty. Otrzymywali wyłącznie pożywienie i po jednym ubraniu. „Warunki pracy w tej restauracji są przeraźliwe” – oświadczyła po zbadaniu sprawy dr Rupa Kulkarni z organizacji CACL.

Chociaż była to sytuacja wyjątkowa w swojej brutalności, to wszystkie pracujące dzieci, a jest ich w Indiach według różnych danych od 17 do 45 milionów, muszą się borykać z wyjątkowo ciężkimi warunkami i znaczną obojętnością ze strony władz.

Co dalej?

Prawo indyjskie nie zakazuje zatrudniania nieletnich z wyjątkiem pracy w fabrykach. Dzieci mogą pracować legalnie w warsztatach rzemieślniczych, w systemie nakładczym, w usługach i w rolnictwie. Poszczególne stany mają zresztą swoje własne prawa pracy. Pracują nawet w instytucjach rządowych. W najbliższym czasie kraje Azji Południowej mogą się jednak spodziewać zwiększonego zewnętrznego nacisku mającego na celu ograniczenie pracy dzieci. Pierwsza oznaka pojawiła się podczas czerwcowej konferencji dotyczącej praw człowieka w Wiedniu. Drugą, niosącą ze sobą praktyczne skutki, stał się projekt ustawy, wniesiony przez senatora Toma Harkina, przewidującej zakaz importu do Stanów Zjednoczonych jakichkolwiek wyrobów, przy produkcji których zatrudnione byłyby dzieci w wieku poniżej piętnastu lat. Ustawa Harkina narusza dotychczasowe interesy przemysłu tkackiego w Azji Południowej, szczególnie związanego z wyrobem dywanów, a większa część dywanów pochodzi właśnie z tego regionu. Z każdego dziesięciu dywanów wyprodukowanych w Indiach cztery trafiają na rynek amerykański. Ponieważ parlament europejski zamierza wprowadzić podobną legislację, skutki gospodarcze dla krajów Azji Południowej mogą być bardzo istotne.

Groźba bojkotu ze strony odbiorców jest całkiem realna. Senator Harkin stwierdził, że: „Proponowana ustawa nie ma na celu narzucenia naszych zasad

krajom rozwijającym się. Ma przeszkodzić producentom w tych krajach, którzy wykorzystują pracę dzieci w narzuceniu swoich norm postępowania Stanom Zjednoczonym”. Choć wypowiedź tę potraktowano w Indiach jako kolejny przykład arogancji bogatej Północy w stosunku do biednego Południa, to władze i producenci postanowili podjąć pewne kroki, które by poprawiły byt kilkuset tysięcy dzieci od rana do nocy tkających dywany. Ministrowie pracy rządów stanowych najbardziej zagrożonych amerykańską ustawą zdecydowali, że należy dopilnować przestrzegania Ustawy o Pracy Dzieci z 1986 roku regulującej zatrudnianie młodocianych. Na początek postanowiono wydać zarządzenia wykonawcze, o których od uchwalenia ustawy siedem lat wcześniej, nikt nie miał czasu, a zapewne i ochoty, pomyśleć. Pracodawcy zobowiązali się polepszyć warunki pracy oraz zastanawiają się nad „kontrowersyjną ustawą” zrównującą płace dzieci i dorosłych. Kontrowersyjną nie tylko dlatego, że podnosi koszty produkcji, ale również dlatego, że legitymizuje zatrudnienie nieletnich. Sama istota problemu nie sprowadza się do tego, czy mają dłużej czy krócej pracować, ale czy powinny pracować w ogóle?

Nacisk zewnętrzny może przynieść pozytywne skutki. Ale może również pogorszyć sytuację wielu dzieci. Jeden z wytwórców konfekcji w Bangladeszu, który stracił rynek amerykański, ponieważ zatrudniał w swojej fabryce dzieci, po prostu je zwolnił. Znalazły pracę w leżących nie opodal kamieniołomach. Pracują znacznie ciężiej za niskie stawki. Ale przecież nikt nie importuje kamieni.